


Nic nie jest takie, jak się wydaje

*Wysnzione  
życie*

Cynthia Swanson



Cynthia Swanson

*Wyśnione  
życie*

PRZEŁOŻYŁ  
Ryszard Oślizło



TYTUŁ ORYGINAŁU:  
*The Bookseller*

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno  
Redakcja: Justyna Yiğitler  
Korekta: Edyta Malinowska-Klimiuk  
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz  
Zdjęcie na okładce: © Olga Ekaterincheva (Shutterstock.com)  
© Taras Atamaniv (Shutterstock.com)  
Skład: skladigrafika@gmail.com

Copyright © 2015 by Cynthia Swanson

Copyright © 2018 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus  
Copyright © for Polish translation by Ryszard Oślizło

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I  
Białystok 2018  
ISBN 978-83-65740-33-5



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:  
[www.facebook.com/kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)



WYDAWNICTWO  
**KOBIECE**

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo KobiECE  
E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)  
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie  
[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

*M*oim rodzicom  
*Dennisowi i Audrey Fisherom,*  
*z miłością i wdzięcznością*

*Zaufaj szczęściu i bogactwu chwili,  
którą właśnie przeżywasz.  
Jest tak samo prawdziwa i twoja,  
jak wszystko, czym żyłaś dotąd.*

— Katherine Anne Porter, *Listy*

## ROZDZIAŁ I

To nie moja sypialnia.

Gdzie ja jestem? Ze zduszonym okrzykiem podciągam nieznaną mi kołdrę pod brodę, rozpaczliwie próbując zebrać myśli, ale nie potrafię wyjaśnić, skąd się tu wzięłam.

Ostatnie, co pamiętam, to środowy wieczór, gdy malowałam sypialnię na jaskrawożółto. Frieda, która zaoferowała mi pomoc, kręciła nosem na ten kolor.

– Zbyt słoneczny jak na sypialnię – orzekła tym swoim wszechwiedzącym tonem. – Jak tu sobie pospać w takim pokoju, gdy trafi się pochmurny dzień?

Zanurzyłam pędzel w puszcze farby i starannie odcisnąwszy nadmiar, wdrapałam się na drabinkę.

– Właśnie o to chodzi – odparłam. Nachyliłam się i szybkimi ruchami zaczęłam malować wysoki, wąski pas ściany wokół okna.

Czy nie powinnam pamiętać, co było dalej? Dziwne, ale nie wiem. Nie mam pojęcia, czy malowanie zajęło nam cały wieczór i czy podziwialiśmy swoje dzieło, zanim zabrałyśmy się za sprzątanie. Nie mogę sobie przypomnieć, czy podziękowałam Friedzie za pomoc i czy się z nią pożegnałam. Nie pamiętam, abym zasypiała w tej słonecznie żółtej sypialni wypełnionej ostrym zapachem świeżej farby. A przecież to wszystko musiało się wydarzyć, skoro tu leżę. Z drugiej strony to nie wygląda jak mój dom, więc pewnie jeszcze śpię.

Zwykle nie miewam takich snów. Nocą zgłębiam fantastyczne światy nieograniczone konwencjonalnym pojęciem czasu i przestrzeni. To, uznałam, skutek czytania tak wielu książek. Znaście powieść *Jakiś potwór tu nadchodzi?* Na półkach księgarń pojawiła się zaledwie w czerwcu, a już mówi się, że będzie jedną z najlepiej sprzedających się książek w 1962 roku. Ray Bradbury ma cudownie lekkie pióro. Wciskam tę książkę każdemu, kto wstąpi do naszej – mojej i Friedy – księgarni, szukając czegoś „naprawdę porwijącego”.

– Nawet we śnie trudno się od niej uwolnić – zapewniam takich klientów. To samospełniająca się przepowiednia: przedwczoraj śniłam, że błąkam się za Willem Hallowayem i Jimem Nightshade’em, dwoma młodymi bohaterami książki Bradbury’ego, których wabił lunapark przybyły w środku nocy do miasteczka Green Town. Ostrzegalam ich, by na siebie uważali – ale zignorowali mnie, jak to trzynastoletni chłopcy. Pamiętam, że nie mogłam za nimi nadążyć, bo nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Will i Jim oddalali się ode mnie, coraz bardziej pogrążając się w mro-

ku, aż ciemne kropki ich postaci zupełnie zniknęły, a ja mogłam już tylko bezradnie płakać.

Jak widać, nie należę do kobiet, którym śni się coś tak przyziemnego, jak pobudka w czyjejs sypialni.

Ta sypialnia ze snu jest wyraźnie większa i bardziej gustowna niż moja prawdziwa. Ściany są szarozielone, a nie intensywnie żółte. Wszystkie meble idealnie do siebie pasują, są eleganckie i nowoczesne. Starannie złożona narzuta leży u stóp łóżka, a moje ciało okrywa miękka, stylowa pościel. Wszystko tu jest wysmakowane, wręcz do przesady.

Wślizguję się pod kołdrę i zaciskam powieki. Bo przecież wystarczy zamknąć oczy, by za chwilę znaleźć się gdzieś na Południowym Pacyfiku i żłopać whiskey z kamratami na pokładzie wielorybnika. Albo poczuć wiatr we włosach, wznosząc się wysoko nad Las Vegas na ogromnych skrzydłach, które wyrastają mi zamiast ramion.

Ale nic takiego się nie dzieje. Zamiast tego słyszę jakiś męski głos.

– Pobudka. Katharyn, kochanie, obudź się.

Unoszę powieki i patrzę prosto w najgłębsze i najbliżejkitniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałam.

I zaraz znowu je przymykam.

Czuję dotyk dłoni na ramieniu – nagim, jeśli nie liczyć cienkiego ramiączka satynowej koszuli nocnej. Już dawno żaden mężczyzna nie dotykał mnie tak zmysłowo. Ale niektórych doznań się nie zapomina, nawet jeśli nieczęsto się ich doświadcza.

Wiem, że powinnam się bać. To byłaby właściwa reakcja, prawda? Nawet we śnie dotyk dłoni nieznajomego na nagiej skórze powinien przerażać.



A jednak, co dziwne, uścisk tego urojonego mężczyzny jest całkiem przyjemny. Delikatny, choć zdecydowany. Palce muskają ramię, a kciuk lekko pieści moją skórę. Rozkoszuję się tym doznaniem, nie otwierając oczu.

– Katharyn. Kochanie, proszę. Przykro mi, że cię budzę, ale Missy ma ciepłe czoło... Chce, żebyś do niej przysłała. Proszę, musisz wstać.

Próbuję zrozumieć tę informację. Zastanawiam się, kim jest Missy i dlaczego miałabym się przejmować jej ciepłym czołem.

Nagle – sama nie wiem jak, bo w końcu to sen – w głowie rozbrzmiewa mi pewna popularna przed kilku laty piosenka. Słyszę melodię, choć jestem pewna, że to nie te słowa – Rosemary Clooney śpiewała coś o roziskrzonych oczach. Coś o tym, by nie dać się ogłupić miłości. Uśmiecham się na tę myśl. Trudno być bardziej ogłupiałą, niż czuję się właśnie w tej chwili.

Otwieram oczy i siadam wyprostowana na łóżku, z żalem stwierdzając, że błękitnooki mężczyzna odsuwa dłoń.

– Kim jesteś? – pytam. – I gdzie ja jestem?

Patrzy na mnie z takim samym zdziwieniem jak ja na niego.

– Katharyn, dobrze się czujesz?

Gwoli wyjaśnienia, wcale nie jestem Katharyn. Mam na imię Kitty. No dobrze – tak naprawdę to jednak Katharyn. Ale to imię nigdy mi się nie podobało.

Brzmi zbyt oficjalnie. „Kath-a-ryn” nie wymawia się tak gładko jak „Kitty”. Niestety rodzice uparli się przy niety-

powej pisowni tego pospolitego przecież imienia i męczy mnie wyjaśnianie tej różnicy każdemu, kto prosi o jego przeliterowanie.

– Chyba dobrze – odpowiadam Błękitnookiemu. – Ale naprawdę nie wiem, kim jesteś i co to za miejsce. Przykro mi.

Uśmiecha się, rzucając mi roziskrzone spojrzenie. Jeśli nie liczyć tych pięknych oczu, wygląda całkiem zwyczajnie. Średniego wzrostu, średniej budowy, z niewielką oponką pośrodku. Rzednące, rudawe włosy, które powoli zaczynają siwieć. Powiedziałaabym, że ma około czterdziestki, czyli jest ode mnie nieco starszy. W powietrzu wyczuwam przyjemny, mydlano-leśny zapach, jakby przed chwilą się golił i brał prysznic. Serce zaczyna mi mocniej bić. Dobry Boże, to wszystko staje się coraz bardziej absurdalne!

– Musiałaś spać bardzo głębokim snem, kochanie – mówi. – Wiesz, kim jestem. Twoim mężem. A ty jesteś w naszej sypialni, w naszym domu. – Zatacza ręką po pokoju, jakby na potwierdzenie swoich słów. – A nasza córka, która ma na imię Missy, jeśli o tym też zapomniałaś, ma prawdopodobnie gorączkę i potrzebuje matki.

Wyciąga ku mnie rękę, a ja odruchowo podaję mu swoją.

– W porządku? – dopytuje się. – Proszę, Katharyn.

Marszczę brwi.

– Chwileczkę. Więc twierdzisz, że jesteś...

– Twoim mężem, Katharyn. To przecież ja, Lars.

Lars? Co za dziwaczne imię. Chyba nigdy w życiu nie znałam nikogo, kto by się tak nazywał. Mój umysł zasługuje na półuśmiech uznania za polot i fantazję. Nie wymyślił jakiegoś tam Harry’ego, Eda czy innego Billa. O nie, proszę państwa, mój wymyślony mąż ma na imię Lars.

– No dobrze – zgadzam się. – Daj mi jedną chwilkę.

Ściska moją dłoń, a wypuściwszy ją, nachyla się, by pocałować mnie w policzek.

– Zmierzę jej temperaturę i poczekamy na ciebie. – Wstaje i wychodzi z pokoju.

Znowu zamykam oczy. *Teraz* już na pewno przyśni mi się coś innego.

Ale kiedy unoszę powieki, wciąż tu jestem. W tej samej zielonej sypialni.

Nie mam wyboru, więc w końcu wstaję. Poddachowe świetliki nad łóżkiem, rozsuwane, szklane drzwi prowadzące, zdaje się, na coś w rodzaju tarasu i przestronna łazienka świadczą o tym, że ten pokój, gdyby istniał naprawdę, byłby częścią dość nowoczesnego lokum. Na pewno nowocześniejszego – i zapewne większego – niż ten bliźniak w dzielnicy Platt Park w Denver, w którym wynajmuję mieszkanie z jedną sypialnią z lat dwudziestych dwudziestego wieku.

Zaglądam do łazienki. Całe wyposażenie jest jasnozielone, błyszczące i z chromowanymi wykończeniami. Widzę podłużną toaletkę z dwiema umywalkami i blatem z białej formiki w złote plamki. Tworzą ją szafki z jasnego drewna, które łagodnie zwężają się ku dołowi, tak że na poziomie blatu toaletka jest szersza niż u dołu. Podłogę pokrywa mozaika z miętowych, różowych i białych płytek. Nie mam pojęcia, czy jestem w Denver, ale jeśli tak, to na pewno nie w staromodnej dzielnicy Platt Park, gdzie nie wybudowano nic nowego od czasów przedwojennych.

Podnosząc wzrok, by przyjrzeć się swemu odbiciu w lustrze wiszącym nad toaletką, spodziewam się zobaczyć zupełnie inną osobę – bo kto wie, kim jest ta cała Katharyn?

Ale okazuje się, że wyglądam dokładnie tak samo. Jestem niska, mam krągłe kształty i kręcone włosy w kolorze rudawego blondu, które wiecznie sterczą mi nad czołem, choćbym codziennie chodziła do fryzjera. Przeczesaując loki, zauważam, że na serdecznym palcu lewej ręki połyskuje brylant i szeroka, złota obrączka ślubna. No cóż, myślę sobie, jakżeby inaczej. Jak miło, że mój mózg wymyślił męża, którego stać na porządny kamień.

Szperając w szafie, znajduję granatowy, pikowany szlafrok, który idealnie na mnie pasuje. Zawiązuję pasek i wychodzę na korytarz, aby znaleźć mężczyznę o cudacznym imieniu Lars i jego chore dziecko Missy.

Na ścianie naprzeciwko drzwi wisi duża, kolorowa fotografia, najwyraźniej umieszczona w tym miejscu, aby było ją widać z sypialni. Przedstawia górską scenerię: niknące za horyzontem słońce podświetla szczyty różowo-złotym światłem. Po lewej stronie wznoszą się sosny żółte. Całe życie mieszkam w Kolorado, a jednak nie mam pojęcia, gdzie zrobiono to zdjęcie ani czy to w ogóle są Góry Skaliste.

Głowie się nad tą zagadką, gdy nagle ktoś przypada z impetem do mego prawego boku i uwiesza się na mnie. Z trudem udaje mi się zachować równowagę.

– Au! – wołam, odwracając się. – Nie rób tak. Musisz sam stać na ziemi. Jesteś już za duży i nie dam rady cię utrzymać.

Co do licha? Czyje to słowa? Przecież nie moje! W życiu nie powiedziałabym czegoś takiego. Nawet do głowy by mi to nie przyszło.

Mały chłopczyk wpatruje się we mnie, zadzierając głowę. Ma przenikliwe, błękitne oczy Larsa i krótkie, schludnie

przeczesał włoski, których jeden jasnorudy kosmyk niesforne sterczy mu nad czołem. Jego brzoskwiniowa buzia lśni czystością. Mogłby wystąpić w reklamie mleka albo lodów owocowych. Jest tak słodki, że wystarczy jedno spożyczenie, by zmiękło mi serce.

Wpuszcza mnie z objęciem i przeprasza.

– Tęskniłem, mamusiu – mówi. – Nie widziałem cię od wczoraj.

Odejmuje mi mowę, ale po chwili przypominam sobie, że to sen, więc uśmiecham się do chłopca. Nachyliłam się i ścisnęłam go za ramię. Postanawiam poddać się temu, co przyniesie ten sen. Dlaczego nie? Jak dotąd całkiem tu miło.

– Zaprowadź mnie do taty i Missy – proszę, ujmując mięciutką, pulchną rączkę dziecka. Idziemy korytarzem i schodami na półpiętro, do różowego pokoju z małym, drewnianym łóżkiem i niskim regałem pełnym ilustrowanych książeczek i pluszowych zwierzątek. Na łóżku siedzi drugi aniołek, równie śliczny jak ten, którego trzymam za rączkę – tyle że jest to dziewczynka. Minę ma osowiałą, a na policzkach wypieki. Jest tej samej wielkości co chłopiec. Kiepsko mi idzie odgadywanie wieku dzieci, ale powiedziałabym, że wyglądają na jakieś pięć–sześć lat. Bliźnięta?

– Mama przyszła! – woła cherubinek, wdrapując się na łóżko. – Missy, mama przyszła i zaraz wyzdrowiejesz.

Missy pojękuje. Siadam przy niej i dotykam jej czoła, które okazuje się niepokojąco ciepłe.

– Co cię boli? – pytam łagodnie.

Przytula się do mnie.

– Wszystko, mamusiu – odpowiada. – A najbardziej głowa.

– Tatuś zmierzył ci temperaturę? – Nie do wiary, jak łatwo przychodzą mi te matczyne słowa i gesty. Czuję się, jakbym robiła to od lat.

– Tak, a teraz myje ter-mon-etr.

– Termometr – poprawia ją cherubinek. – Mówi się ter-MOM-etr. A nie ter-MON-etr.

Dziewczynka przewraca oczami.

– Nie wtykaj nosa w cudze zabawy, Mitch.

W drzwiach pojawia się Lars.

– Sto jeden i sześć kresek – obwieszcza.

Nie bardzo wiem, co to oznacza. Rzecz jasna rozumiem, że sto jeden i sześć to temperatura Missy w stopniach Fahrenheita\*, ale czy to znaczy, że powinna zostać w łóżku, zamiast iść do szkoły?

Bo ja nie mam dzieci. Nie jestem matką.

Nie twierdę, że nigdy tego nie chciałam. Wręcz przeciwnie. W dzieciństwie uwielbiałam bawić się lalkami, karmiłam je z wymagowanej butelki, woziałam w małym wózekku dla lalek i udawałam, że zmieniam im pieluszki. Byłam jedynaczką i błagałam rodziców o rodzeństwo – nie dlatego, że chciałam być starszą siostrą, ale dlatego, że chciałam być dla kogoś mamusią.

Dość długo myślałam, że wyjdę za Kevina, mojego chłopaka, z którym spotykałam się w college’u. W czterdziestym trzecim wyjechał na wojnę na Pacyfiku, razem z resztą młodych mężczyzn, którzy nie zrobili tego wcześniej. Pozo-

---

\* 38,6 stopni Celsjusza (przyp. tłum.).

stałam mu wierna – wtedy dziewczęta tak właśnie robiły, pozostawały wierne. Często do siebie pisaliśmy. Wysyłałam mu paczki z ciasteczkami, skarpetkami, mydłem do golenia. Razem z innymi siostrami z mojego stowarzyszenia studenckiego zaznaczałyśmy pinezkami na mapie Pacyfiku szlak bojowy naszych chłopców-żołnierzy.

– Czekanie jest trudne, ale nasz trud się opłaci, gdy wrócą do domu – pocieszałyśmy się nawzajem. Chlipałyśmy w chusteczki na wieść, że chłopak któregoś z nas już nie wróci. A w duchu każda dziękowała Bogu, że to nie *jej* ukochany, nie tym razem.

Ku mojej wielkiej uldze Kevin wrócił z wojny cały i zdrowy, pragnąc czym prędzej dokończyć kurs przygotowujący do studiów medycznych i spełnić marzenie o zostaniu lekarzem. Dalej się spotykaliśmy, ale nigdy mi się nie oświadczył. Na każdym ślubie, na który nas zapraszano, słyszeliśmy pytanie, kiedy i my się zdecydujemy.

– Och, kiedyś na pewno! – odpowiadałam tonem nieco zbyt beztróskim i nonszalanckim. A Kevin po prostu zmieniał temat.

Mijały kolejne lata. Kevin skończył swoje studia i zaczął staż, ja pracowałam jako nauczycielka piątoklasistów. Ale w naszym związku nic się nie zmieniało. W końcu uznałam, że nie mogę dłużej czekać i postawiłam ultimatum. Powiedziałam Kevinowi, że jeśli nie chce zalegalizować naszego związku, to odchodzę.

Ciężko westchnął.

– Tak chyba będzie najlepiej – powiedział i zdawkowo pocałował mnie na pożegnanie. Niespełna rok później

dowiedziałam się, że ożenił się z pielęgniarką ze szpitala, w którym pracował.

Cóż, najwyraźniej w tym świecie ze snu nie mają znaczenia ani tamte zmarnowane lata, ani bezduszne odrzucenie mnie przez narzeczonego. W tym świecie wygrałam los na loterii. „Dobra robota, Kitty”, pogratulowałyby mi siostry z Delta Zeta. „Brawo”.

Ta myśl jest tak absurdalna, że prawie wybucham śmiechem. Zawstydzona szybko zasłaniam usta. Co prawda to sen, ale mam tu chore dziecko. Powinnam być stosownie zatroskana, jak każda matka.

Podnoszę wzrok i napotykam spojrzenie Larsa. Patrzy na mnie z zachwytem i – czy ja dobrze widzę? – *pożądaniem*. Czy małżonkowie mogą tak na siebie patrzeć? I to w chwili, gdy ich dziecko gorączkuje?

– I co teraz, Katharyn? – pyta Lars. – Ty zawsze wiesz, co się robi w takich sytuacjach.

Naprawdę? Ten sen robi się coraz ciekawszy. Zerkam w okno, za którym wstaje chyba zimowy poranek. Przez oszronione szyby widać prószący śnieg.

I wtedy nagle, w niewyjaśniony sposób, po prostu *wiem*, co trzeba zrobić. Wychodzę na korytarz i idę do łazienki. Doskonale wiem, na której półce w apteczce znajdę plastikową buteleczkę z przeznaczoną dla dzieci aspiryną marki St. Joseph. Wyjmuję papierowy kubek z przytwierdzonego do ściany podajnika i nalewam do niego trochę zimnej wody. Otwieram bieliźniarkę i sięgam po myjkę do twarży, którą wkładam pod strumień zimnej wody, a następnie wyciskam.



Zdecydowanym krokiem wracam do pokoju Missy, niosąc buteleczkę z lekarstwem, myjkę i kubek. Przykładam i lekko przyciskam myjkę do jej ciepłego czoła. Wręczam jej dwie aspiryny, które dziewczynka posłusznie połyka, popijając je wodą. Uśmiecha się do mnie z wdzięcznością, po czym kładzie się z powrotem na poduszce.

– Teraz niech odpoczywa. – Przykrywam Missy kołderką i kładę obok łóżka kilka książeczek z obrazkami. Zaczyna przeglądać *Na ratunek Madeline* autorstwa Ludwiga Bemelmansa, jeden z tomów tej uroczej serii o Madeline, uczennicy paryskiej szkoły z internatem, i jej jedenastu koleżankach z klasy. „W Paryżu, w pewnym starym domu, który był porośnięty dzikim winem, ustawiało się co rano w dwa rzędy dwanaście małych dziewczynek”\*, recytuje Missy gardłowym szeptem, wodząc paluszkami po wydrukowanych wyrazach.

Lars ujmuję mnie za rękę. Uśmiechamy się do naszej córeczki i razem z naszym cudownym synkiem po cichutku wychodzimy z pokoju.

I wtedy mój sen się kończy, równie nagle, jak się rozpoczął.

Ostry dźwięk stojącego na szafce nocnej budzika rozrywa ciszę. Sięgam ku niemu z zamkniętymi oczami i mocno wciskam guzik, aby uciszyć dzwonek. Uchylam powieki i widzę, że sypialnia jest żółta. Jestem w domu.

---

\* Przekład Małgorzaty Pietrzyk (przyp. tłum.).



WYDAWNICTWO  
**KOBIECE**

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

**[www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl](http://www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl)**

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 [www.facebook.com/kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)



ul. Kolejowa 12B/12

15-701 Białystok

e-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

tel. 731-019-059